

The background of the entire image is a composite. On the left, a woman is seen from the back, wearing a light blue beret and a matching coat. Her long brown hair is visible. She is looking out over a landscape. The landscape features a sunset or sunrise with a warm orange and yellow glow. In the foreground, there are several strands of barbed wire. A small black bird is perched on a wooden post that supports one of the wires. The title text is overlaid on the right side of the image.

ANDRZEJ
MULARCZYK

CZYIM
JA ŻYŁĘM
ŻYCIEM

 SAGA
EGMONT



ANDRZEJ
MULARCZYK

CZYIM
JA ŻYŁEM
ŻYCIEM

 SAGA
EGMONT

Andrzej Mularczyk

Czyim ja żyłem życiem
Iskry Warszawa 1983

Saga

Czyim ja żyłem życiem

Zdjęcie na okładce: Shutterstock
Copyright © 1983, 2021 Andrzej Mularczyk i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788726878691

1. Wydanie w formie e-booka
Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów
innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą
Wydawcy oraz autora.

www.sagaegmont.com
SAGA Egmont, spółka wydawnictwa Egmont

Czym ja żyłem życiem

Widziałem ich, jak się zbliżali.

On wtedy spał.

W winnicach też się nie pracuje samo południe. Ale tam nie wieje prawie bez przerwy północny wiatr. A tu wszystkie drzewa przygięte są w stronę południa.

Tego roku lipiec był sztormowy. Szum morza dochodził aż tu, do jego podwórza. Niebo było ołowiane, ale Hugo Savini spał na wozie pod szopą, z czapką nasuniętą na pół twarzy, jakby chronić się chciał od słońca, którego wcale nie było. Był w czerwonej koszulce z napisem Mickey-Mouse. Głowę wsparł o koszyk, przykryty derką końską, nogi w gumiakach wystawały poza wóz.

Kiedy zajechali, na podwórzu stała wsparta o widły kobieta. Właśnie wyrzuciła obornik. Czerwona chusta nie mogła ujarzmić włosów sztywnych jak gałęzie głogu; na kufajkę nałożyła kaftan bez rękawów; na zeskorupiałych, sztywnych skarpetach, sięgających do kolan, miała wycięte ze starych gumiaków płytkie kalosze.

To była jego kobieta.

Gdy zobaczyła zagraniczny samochód, ucieszyła się, że to letnicy. Zwykle proszą o miejsce na rozbicie namiotu, płacą za nieużytki i powietrze, za to morze, którego ona nie widzi czasem przez pół roku. Nic im nie przeszkadza rozlany szeroko gnojownik po drugiej stronie obory, za którą na starych fundamentach rośnie leszczyna.

Wieś leży kilkaset metrów od morza. Co to zresztą za wieś? Kiedyś było dwadzieścia dwa numery, dziś zostało osiem. Rozleciały się mury, zapadły dachy, resztę

rozebrano. Nie było wielu amatorów na osiedlenie się tutaj. Właściwie ci, co tu przybyli, to nie wszyscy ze swojej woli. Tylko oni pamiętają, że tam, gdzie teraz rośnie łopian i pokrzywa, stały kiedyś domy. Ale nawet ci pierwsi osadnicy nie wiedzieli, jak nazywali się żyjący tu kiedyś rybacy.

Za to wiedzieli to ci, co wysiedli z kremowego „Audi”. Wskazywali puste miejsca, nazywając je nazwiskami dawnych mieszkańców. Potem zaczęli fotografować dom, oborę, stodołę, siedem krów na łące i klacz Baśkę. Chcieli sfotografować śpiącego w koszulce z Mickey-Mouse na piersiach. I jego kobietę.

Wtedy się zbudził. Słyszałem tę rozmowę:

— Skąd jesteście? — spytał.

— Spod Fuldy. A pan skąd tu przyszedł?

— Spod Padwy.

— Włoch? Tutaj? Skąd pan się tu wziął?

— Spytajcie Hitlera.

— Za późno. On już nie odpowie. Ani my za niego nie chcemy odpowiadać.

— Ale ja musiałem. Przeżyłem nie swoje życie. Zostałem tym, kim nie miałem być. I dlatego żaden Niemiec nie rozbije tu namiotu!

— Jesteśmy tu gośćmi, tak jak pan! Kiedyś tu był dom naszej rodziny. Chcemy pokazać dzieciom, gdzie by żyli, gdyby nie wojna.

— Odejdźcie stąd i więcej tu nie przychodźcie.

— Zapłacimy za miejsce na namiot i samochód.

— Tu nie chodzi o pieniądze...

Otworzyli kufer „Audi”, wyciągnęli butelkę w kartonie.

On chwycił za obrozę psa, gotów go spuścić z łańcucha.

Jego kobieta patrzyła z żalem na odjeżdżający zagraniczny samochód. Przepada tyle „darmowych pieniędzy”. Byli gotowi zapłacić nawet za prawo robienia zdjęć. Za gwiazdy nad namiotem. Dlaczego ich przegnał?!

Nigdy go do końca nie zrozumie. Nigdy mu też do końca nie zaufa. Przygarnęli go z łaski, kiedy był niczyj. Teraz dobrze wie, czyj jest, kto się o niego upomina. Czy to wiadomo, co takiemu może strzelić do głowy? Takiego najlepiej trzymać w nastroju wiecznego zagrożenia. Więc labidzi, że nędza zagląda im w oczy, że grosza nie ma na kółkowe maszyny, niech koniem orze i zbiera. Sama rachunki robi, kasę trzyma, na papierosy mu wydziela: Kiedyś leśniczyna szukała na jej strychu swojej kotki. Zastała Katarzynę przy kominie oblepionym tysiąc złotychkami. Cały komin od góry do dołu. A ona obejmowała go, żeby szybciej banknoty przeschły. Trzymała je w jakimś schowku i zawilgły. Na widok leśniczyny padła na kolana:

— Nie zdradzaj mnie pani przed nim! Przysięgnij pani, że nie powiesz! On, jakby tyli pieniądź ujrzał, toby się położył i więcej nie pracował!

Wybiła mu z głowy przez te lata białe koszule na niedziele i święta. Kawę lubił, po zapachu gatunek poznał. Parzenie kawy też mu wyperswadowała: raz, że na żołądek szkodzi, a dwa, że ile kosztuje! A wino? Kto widział wino na wsi pić?! Toż takiego poważnie sąsiedzi nie traktują!

A Hugo, kiedy tylko koło leśniczówki przechodzi, głowę do góry zadziera, nosem wietrzy zapach świeżej kawy. Wie, że leśniczyna kawę lubi. Jak tylko ma czas, zawsze zagląda. Na progu gumiaki zostawia, w samych skarpetkach po pastowanej podłodze chodzi, wszystko mu tu pachnie, do rąk się nie lepi, a leśniczyna wie, że Hugo nie o wnuczkach przyszedł jej opowiedzieć ani nie o wiatrołomach z mężem jej pogadać. Na kawę liczy, winem nie pogardzi.

— Jak posiedzi, zapach kawy poczuje, jego oczy inne się robią. Prosi męża, żeby coś na harmonii zagrał, ale mąż z włoskich to tylko „Wróć do Sorrento” potrafi. A on się wtedy w Włocha zamienia: coś zanuci, o zbiorze wina

opowiada, ręce za niego mówią, jak wiatrak macha, zębiskami błyska, bo on w chałupie w blaszaku herbatę pije, ale zęby mył zawsze, nawet po tej przasnej kaszy. Ale kiedy wozem paszę dla świń wiezie czy przez pola po sznurek do snopowiązałki pod wiatr do Rusinowa pedałużę, to całkiem nie do poznania, że to Włoch. Taki sam kufajkowaty on jak inni stąd.

— Nie — sprzeciwia się leśniczy, który jest zarazem strażnikiem morskim. — Widziałś chłopą, co założy koszulkę z tą myszą Mickey-Mouse?

Który chłop tutaj, jadąc świtem z mlekiem przez zawiane śniegiem pola, zastanawia się, czym on właściwie żył życiem? Przez całe lata wracały mu te pytania: za kogo żył? I kto żył za niego życiem przeznaczonym dla niego przez miejsce urodzenia? Nikomu się nie przyznawał, że chodząc za broną myślał wciąż o tym, do jakiego życia się urodził, a jakie przyjął za własne. Na ile mógł sam zmienić los i dlaczego tak się stało, jak jest. Kto w nim żyje? Włoch — w Polaku czy Polak we Włochu? Kto zdecydował i kiedy stało się to nieodwołalną ostatecznością, że przyjął nie swoje życie za swoje? Czy data urodzenia, która przeznaczyła jego rocznik do służby, czy owe sto dziesięć centymetrów obwodu klatki piersiowej, co zdecydowało o przydziale do strzelców alpejskich? A może chciał tak Bóg? A wówczas Hitler, marszałek Badoglio, młynarz Schumacher i wójt Kowalski z Naćmierz pomagaliby tylko realizować wydane na niego wyroki.

Nie wpuszczając, na swoje podwórze gości z Niemiec, pod koniec życia buntował się przeciwko temu życiu, do którego nie był przeznaczony.

Urodził się na południu, wśród winnic, a żyje na północy, czterysta metrów od zimnego morza. Obcych ludzi widzi w lecie. W zimie same tylko zające. Z racji pochodzenia miał być właścicielem winnic. Jest polskim chłopem. Znał się na

winorośli, a sadził buraki. Ileż przypadków i nieprzypadków złożyło się na tę metamorfozę. Wciąż wracało do niego pytanie: skoro żyję jakby nie sobie przeznaczonym życiem, to kto żyje tym moim? I jakie by ono było? Czy takie jak braci, Maria i Piotra? Czy ożeniłby się z tą Claudią, której przysięgał miłość, kiedy jeszcze chodził w Padwie do zawodowej szkoły?

To było w 1940 roku. Następny raz zobaczył ją po trzydziestu sześciu latach.

— Czekałam na ciebie, dokąd tylko mogłam — powiedziała ubrana na jego powitanie w czarną suknię, jak na pogrzeb. — Dlaczego nie wróciłeś, Hugo?

Może dlatego, że miał akurat te sto dziesięć centymetrów obwodu klatki piersiowej i smukłą sylwetkę, która tak jej się podobała. To go właśnie kwalifikowało do strzelców alpejskich. Turyn, czwarty batalion, trzecia kompania, na hełmach trójkolorowa opaska z wetkniętym pękiem piór, na plecach czterdzieści pięć kilo obciążenia. Po trzech miesiącach szkolenia Hugo jako caporalle miał drużynę i działko ppanc, Sama lufa ważyła siedemdziesiąt kilo, taskało ją dwóch ludzi, łatwiej było pod górę niż z góry, ciężar spychał na skały, ale wszystko było dobrze, póki daleko od wojny.

Nie wiedzieli, dlaczego w trybie alarmowym ściągają ich do koszar w Turynie. Rano nie było pobudki. To był trzynasty października 1943. Koszary były otoczone przez niemieckie czołgi. Lufy wycelowane na plac alarmowy.

— Co robimy, chłopcy? — spytał generał. — Marszałek Badoglio wypowiedział wojnę Niemcom.

— Chcemy do domu. Tutti a casa!!

— Żeby wrócić do domu, trzeba prędzej skończyć tę wojnę. Wyrzucić Niemców z Włoch!

Caporalle Savini opowiada:

— Krzyknęliśmy „hurra!” i pobiegliśmy po karabiny. Tłukliśmy się trochę, moje działko ppanc trzymało czołgi na dystans. Odparliśmy cztery ataki na koszary, ale ich wspomagało lotnictwo, przez loty koszące ginęła ludność cywilna. Złożyliśmy broń. Powiedzieli nam, że odeślą nas do domu. Tutti a casa! — tego każdy chciał. Myśleliśmy, że wojna się już dla nas skończyła. A tak naprawdę to ona się dopiero dla mnie wtedy zaczęła. Po sześćdziesięciu ludzi ładowali do wagonów. Zadrutowali okna, sześć dni i nocy bez jedzenia i picia. Kiedy drzwi wagonów rozsunęły się — mieliśmy za sobą gówno po kolana, a przed sobą... Berlin.

Pamięta wielki plac, otoczony czołgami. Stali tam cały październikowy dzień. Coś się miało wielkiego stać. Zapowiedź czegoś nie przewidzianego wisiała w powietrzu. Zajechały samochody. Przed szeregi jeńców przeszedł Adolf Hitler w asyście dwóch generałów. Nie wiedzieli, czy patrzył na nich jak na żywych, czy jak na umarłych. Przyszedł ich ułaskawić czy skazać?

Kiedy ich z powrotem prowadzono ku boczniczy kolejowej, Hugo żegnał się w myślach z rodziną. Nie przypuszczał, że za trzy dni spotka się z bratem.

Przywieziono ich do Buchenwaldu. Pięćset baraków po pięciuset ludzi. Savini był w trzecim baraku. Przed nim trawa wyjedzona do gołej ziemi. Praca w kamieniołomach, kilo chleba na sześciu, wieczorem litr wody z białą brukwią. Tam spotyka Piotra: służył w Grecji jako podoficer, w czasie transportu ich statek został storpedowany, Piotr przez sześć dni kołysał się na morzu, uczepony deski.

Postanowili trzymać się razem. Ale tam decydował kto inny. Przechodzili koło rampy, przy której Polacy zrzucali gablami zamrożnięte kartofle. Hugo podniósł jeden i zaczął jeść jak jabłko. „Post” uderzył go lufą w twarz, złamał nos. Przez sześć tygodni leżał oślepy w więziennym lazarecie w mieście Stettin.

Przez ten kartofel zobaczył się z Piotrem dopiero po trzydziestu dwóch latach.

Z żołnierza-sojusznika stał się najpierw jeńcem, potem towarem.

W obozie przejściowym w Grudziądzu odbył się targ niewolników. Stali szeregiem, a bauerzy macali ich mięśnie, kazali pokazywać zęby, jak koniom na targowisku.

— Kto umie krowy doić? — padło pytanie. Podniósł rękę, choć krowy nigdy dotąd nie dotknął.

— Trafiłem do wioski Freinwalde w Prusach Wschodnich. Tam było tak, że paznokcie mi szerniały, bo w mróz dwudziestu nas spało pokotem w stodole na betonie. Jak gospodyni sypała świniom zaparowane ziemniaki, myśmy na czworaka między świnię wchodzili, żeby nas nie było widać, i wybieraliśmy im z koryta. To dziwne: świnię przybierały na wadze, myśmy spadali. Miała być wigilia, kiedy łupnął pierwszy ruski pocisk. Bürgermeister załadował wozy, zaciął konie, ledwie zniknęli, myśmy szczęśliwi rzucili się do kurników robić rzeź kur: nareszcie żyjemy! Słysząc strzały, my krzyczymy we wszystkich językach: „Wolność, wolność!” — a to dwóch „postów” wróciło po nas. Pognali na zachód. Przez dwadzieścia dwa dni tej strasznej zimy, w czasie której w ciągu pół godziny umarli stawali się sztywni jak stalowe belki, a łzy zamarzały na policzkach, przebijaliśmy się przez śniegi. Ciągnęliśmy razem z wielką ucieczką wzdłuż morza, ale nie widziałem go, lasy były zawiane śniegiem, każde odejście groziło śmiercią. Przypominało mi się, co czytałem o odwrocie Napoleona spod Moskwy. Doszliśmy za Jarosławiec do Rusinowa. Tam wybrał mnie sobie z konwoju młynarz Schumacher. Pod pistoletem zaprowadził do swego wiatraka. Nie miałem dość siły, żeby utrzymać menażkę z zupą. Pierwszą ciepłą zupą. Nie dał mi dojeść, kazał dźwigać pięćdziesięciokilowe worki.

Był ósmy marca, kiedy z okienka wiatraka Hugo dojrzał konny zwiad. Konie wydawały się stare, tak siwe były od szronu ich pyski. Rosjanie! Zeskoczył z maszynowni młyna, chciał biec naprzeciw, ale dostrzegł wycelowany w siebie pistolet.

— Za późno, panie Schumacher. Bolszewicy już są tu!

Otworzył drzwi młyna, uniósł rękę, chciał dać znak, a wtedy przysadzisty młynarz lagą powalił go na ziemię.

Kiedy Francuzi, Serbowie, Ukraińcy, którzy byli tu na robotach, wspólnie witali wolność — Hugo Savini leżał nieprzytomny. Przyszli nawet po niego, namawiali, by jechał z nimi do Francji, ale powtarzał wtedy w kółko: „Dla mnie to z drogi... Z drogi”.

Francuzi odjechali, on nadal leżał chory w pralni na cemencie. Schumacher stawał nad nim, pokazywał pistolet: „Nasi tu jeszcze wrócą. Spróbuj wyjść za bramę, kula w łeb!”

Był nadal niewolnikiem. Kiedy ktoś się pojawiał, młynarz zamykał go w piwnicy. Dla Hugona nic się nie zmieniło. Nie umiał się z nikim dogadać. Wciąż był jeńcem. Wybłągał tylko nieznanych ludzi, by wysłali jego list do Padwy. Zamiast sam znaleźć drogę powrotną do domu, wzywał rodzinę na pomoc, jakby nie wierzył, że jest wolny, że może decydować za siebie.

Uznał, że musi dźwigać los, który wydziedziczył go z wszystkich praw ludzkich.

Zbyt często widział przez ostatnie dwa lata swoich współziomków sztywniejących w śniegu z kulą w głowie za ociąganie się w marszu, za wymigiwanie się od pracy, za kradzież bochenka chleba. Nie chciał podzielić ich losu. Może to zdecydowało, że przyjmował bez oporu kolejne etapy tego życia, które jakby coraz mniej były jego. Przestał być Hugonem Savinim, był tylko kimś, kto musi słuchać.

Strach daje siłę, by wiele przetrzymać. Ale też pozbawia nadziei, odbiera szansę bycia sobą wobec swojego losu.

Tak to teraz widzi. Wtedy starał się być jak najmniej zauważalny. Ale kogoś, kto nie należy do zwycięzców, nie należy do pokonanych, nie jest autochtonem ani Polakiem i mówi tylko po włosku, trudno było nie zauważyć. Taki ktoś był niczyj. Był tego, kto wyciągnął po niego rękę.

Zgłosił się po niego milicjant: „Włoch? Jesteście aresztowani! Za co? Dowiedzie się na miejscu! Ruszamy!” Milicjant jechał na rowerze, on brnął za nim przez pola. Po raz pierwszy wyszedł za bramę, po raz pierwszy zobaczył w lecie pola za Rusinowem. Nie skoszone, przejrzałe żyto, które już się kładło, skowronki w górze i martwe okna opuszczonych domostw. Wtedy jeszcze nie wiedział, że zostanie na zawsze w tym pejzażu. Że jeśli go kiedyś opuści, to po to, by wracać do niego pośpiesznie. Że będzie tęsknił do siebie — tutejszego.

Milicjant zaprowadził go na posterunek w Naćmierzu. Nadal był jeńcem, tylko pilnujący się zmieniali. Widocznie uwierzył, że tak musi być, i kiedy nazajutrz zaprowadzono go do wójta Kowalskiego, przyjął do wiadomości, że ma u niego pracować jako robotnik. Oczekiwano od niego tylko posłuszeństwa. I tak wrastał w tę pracę, w codzienność, w narzucony mu los.

Słuchając jego relacji, jak to naraził się szabrownikom, którzy chcieli go zabić za to, że bronił skórzanych pasów transmisyjnych — zastanawiam się, w jakiej roli występował. Kogo bronił i przed kim? Czy już wtedy przeczuwał, że będzie żył tutaj życiem nie dla niego przewidzianym? Czy uwierzył we wszechmoc historii, która przerobiła mu biografię?

— W 1947 roku ksiądz z Padwy odnalazł mnie przez Czerwony Krzyż. Rodzina tam zgłosiła, że mnie poszukuje, i padre napisał, żebym natychmiast jechał do

przedstawicielstwa włoskiego do Warszawy. Nie miałem pieniędzy, pożyczył mi Barański, potem ja u niego do 1949 roku robiłem tylko za jedzenie. Z Warszawy Wschodniej szedłem przez gruzy piechotą na plac Dąbrowskiego. Tam usłyszałem, że ostatni transport był w maju, teraz powrót tylko na swój koszt.

Po włosku do mnie mówili, a ja jakby pojąć nie mogłem: czy ja się na swój koszt w tę stronę wybierałem? Nie pchałem się na tę wycieczkę. Zresztą rodzina zapłaci za mnie na miejscu! Rozłożyli ręce. Powiedzieli, że zawiadomią. Do dziś nie zawiadomili. Wracałem tramwajem numer sześć, potem dziesięć.

Wracał, by zebrać pieniądze na powrót. A jednak aż do 1949 roku zgadzał się pracować u Barańskiego w Rusinowie za samo jedzenie. Był dziwnym jeńcem: niewolnik z własnej woli. A może raczej z jej braku? Co dwa tygodnie musiał się meldować na posterunku, dopóki w czterdziestym dziewiątym nie zdecydował się wystąpić o polskie obywatelstwo. A zdecydował się przez to, że chłopak Barańskiego chciał się nauczyć grać na harmonii, a jedyną harmonię w okolicy miał Materniak we wsi W. Więc woził chłopaka wozem na tę naukę, trochę słuchał pod oknem, trochę z nudów Materniakom w obrządku pomagał — a to gnój wyniósł, bronę naoliwił, a krowy to go nauczyła doić Katarzyna. Przy krowim ogonie ją poznał. Patrzyła na niego przeciągle, Hugo przystojny był, cera oliwkowa, oczy ciemne, a zresztą wówczas każdy mężczyzna, co miał dwie ręce, był na wagę złota.

Materniaki też tu nie z własnej woli trafili. Przywieźli ich pociągami w 1947 po akcji „W”. Z, Bieszczad nad morze. Trochę jak on: z południa na północ. I jak on — nie po dobrawoli. Coś jakby ich łączyło, jak wypili, śpiewali po ukraińsku, a jemu się przypominało, jak śpiewał na dwa głosy z Claudią.

Wieś W. na wydmuchu stała, dawna rybacka wieś, a teraz zasiedlona przez rolników, ziemi dużo, ludzi mało, więc Materniakowa na Katarzynę patrzy i mówi do Włocha:

— Ożeniłbyś się.

— Narzeczoną w Padwie mam.

— Po tylu latach ona już nie twoja. Kto inny się nią cieszy, Zresztą gdzie ci za kobitą taki karwas świata ganiać? A bez kobity życie tymczasowe. Ożenisz się, przestaniesz być Włochem, milicja da ci spokój.

— Ja bym się i żenił, tylko nie mam nic. Ani butów porządnych, ani ubrania do ludzi.

— Ubranie można kupić, szczęścia trzeba szukać. A ono dla ciebie już się znalazło.

To powiedziała matka, bo Katarzyna wcale prawie się nie odzywała. Co miała gadać, kiedy sprawa jasna: mieli konia i trzy krowinki, potrzebny był gospodarz. Na kogo tu mogła liczyć? Włoch był lepszy niż inwalida.

Na drugi raz zabrali go do Darłowa, ubrali od butów po kapelusz. Stał przed lustrem i patrzył na siebie zdumiony: więc może być taki!

Znów zadecydowano jakby za niego. Wybrano mu miejsce w rodzinie, która częściej mówiła po ukraińsku niż po polsku. On spod Padwy, ona spod Przemyśla. On nie rozumiał ich pieśni, oni — jego, ale i te, i te były pełne tęsknoty. Wesele trwało trzy dni. To było pierwsze wesele we wsi, która wówczas jeszcze liczyła dwadzieścia dwa numery, a dziś tylko osiem. I tak przez harmoszkę Katarzyna została panią Savini, Materniak-harmonista jego szwagrem, a on sam obywatelem polskim, mężem Ukrainki.

Chłopem Savini został. Chciał mieć już wreszcie jakieś swoje miejsce. Mieć kogokolwiek. Może mu się zdawało, że w ten sposób prędzej zbierze pieniądze na powrót? Ale pieniędzy nie dawano mu do rąk. Lepiej, żeby się zbyt

pewnie nie poczuł. Niech wciąż będzie obcy, a wówczas, siebie niepewny, będzie się trzymał progu.

Ale że nikt we wsi nie był „tutejszy” — jedni przesiedleni po akcji „W” spod Przemyśla i Leska, inni z Bydgoskiego — i wciąż nie mogli znaleźć wspólnego języka, to Włoch okazał się najlepszy na sołtysa. Pełnił tę funkcję przez dziesięć lat. Lubili go wszyscy. Nie miał do nikogo pretensji. Nie miał swoich, żeby ich forować, nie miał wrogów, żeby ich niszczyć. Sprawiedliwy był i bez złości. Znali go w Sławnie, Rusinowie, Naćmierzu. Przecież w gruncie rzeczy on był tu pierwszy.

Pojechał raz Savini po paszę dla świń do Darłowa. Bierze taksówkę, a w lusterku widzi czujne spojrzenie kierowcy.

— Ja pana znam z młodości — mówi taksówkarz.

— To niemożliwe. Ja z Padwy jestem. Z Włoch.

— A w Buchenwaldzie pan był?

— W trzecim baraku.

— Ja w piątym! — i taksówkarz zmienia kierunek jazdy.

— Lecimy do Naćmierza! Tam jest rolnik Kieliszek Jan, on też w kamieniołomach taczki pchał.

Miał więc już i wspólny los z tymi, którzy tu żyli. Wspólną pamięć. Jak miał wracać, kiedy kolejno krowy się celiły, córki rodziły, wnukom chrzciny trzeba było urządzać, siać, orać, bronować, o eternit się starać?... „Roboty tyle — pisał po włosku — że rzadko mam czas nad morze pójść. Inne ono niż nasze, może przyjedziecie zobaczyć...”

W 1970 przyszła depesza: brat Piotr wyrusza do Polski. Hugo poruszony zaszedł do leśniczówki. Na progu gumiaki zostawił, w skarpetkach wszedł do kuchni. „Brat przyjeżdża” — powiedział, jakby zwierzał się z jakiegoś dramatu. Bo bał się trochę tej konfrontacji. Jak wypadnie w oczach wysłannika rodziny?

Kawy mu zaparzyli, a on wspominał, jak to widział Piotra ostatni raz w Buchenwaldzie przy rampie...

On widział go takim, jakim Piotr był wtedy. Nie docierało do niego, że to przyjedzie ktoś zupełnie inny. Jak przebiegnie spotkanie braci? Gość przypomni mu życie, jakie tam na niego czekało, a sam zobaczy przechyloną studnię na podwórzu, rozwaloną wygodkę, żonę w kaloszach, których nie ściąga przez okrągły rok, usłyszy jej wołanie za krowami: „Uwa-uwa, gdzie liziesz, chalero!” Kawy nie da, skołczałe kartofle postawi na stole, po którym kury spacerują, co najwyżej rękawem go przetrze. Telewizji nawet nie ma, w domu wilgoć, nikt nie napali, franek nie zawiesi, nie, na taką konfrontację nie chcieli swojego sołtysa narazić.

Chcieli mu pożyczyć telewizor. Firanki. Nawet żonę.

Odbyły się trzy narady: jak życie Włocha przyozdobić, żeby mu głupio wobec rodziny nie było. Ktoś zadeklarował wypożyczenie własnej żony, która zagrałaby na czas wizyty bratową Piotra. Były głosy przeciwne: a jak się Hugo przyzwyczai do tej nowej? I co zrobić z Saviniową prawdziwą? Gdzie ją przetrzymać? A kiedy go do Włoch zaproszą — to z którą pojedzie? Czy córki się zgodzą na tę zamienioną matkę? A przecież będzie chciał Piotr rodzinę brata poznać.

Hugo nic nie wiedział o tych planach. Znów ktoś chciał za niego wybrać rozwiązanie. Ale na to było już za późno: tkwił zbyt głęboko w tym życiu, by zmiana scenografii i kostiumu mogła tu naprawdę coś znaczyć.

Przez trzy dni grabił podwórze, muchy z domu przepędzał, kieliszki do wina pojechał kupić...

Wyjechał na rowerze do końca asfaltu. Czekał w lesie nad morzem. Zobaczył „Alfa-Romeo”, wskoczył na rower i gnał naprzeciwko. Piotr wyskoczył z samochodu, Hugo razem z rowerem wpadł w jego ramiona.

Był wiatr i morze tego dnia bardzo szumiało. Nie bardzo wiedzieli, co mówią do siebie. Ale mówili.

A potem jechał przed „Alfą” na rowerze przez las, potem przez pola, koło kapliczki i myślał sobie: „Dobrze, że on zimą nie przyjechał, boby się wtedy nie przekopał...”

Pies szczekał, siedem jego krów myczało, Piotr wszystko oglądał, popatrzył, jak Katarzyna doi, a potem trzymając w ręku paczkę z rajstopami, spytał, gdzie żona, bo on prezenty dla niej przywiózł. Może wtedy Hugo pomyślał, że lepiej by było, gdyby tak choćby leśniczynę mógł jako żonę przedstawić. Piotr przywiózł wino i kawę, więc pili i po włosku gadali, a jego kobieta, chustki nie zdejmując, czujnie ich twarze obserwowała. Chciała wiedzieć, do czego gość namawia jej męża. A oni mówili o tych wszystkich latach bez siebie: że Piotr jest zawiadowcą stacji, Mario pracuje w cementowni, a Claudia wciąż pyta o Hugona.

Piotr chciał się wykąpać po podróży. Najlepiej w morzu, ale było zimne. Bardzo zimne. Mimo to wziął ręcznik i poszedł. Tam dopiero byli razem. Tylko ze sobą.

Długo siedzieli na plaży, chociaż był wiatr, sypało piaskiem w oczy.

Nazajutrz Piotr się źle poczuł. Nie wiadomo: z wody, z nerwów czy z jedzenia. W szpitalu w Sławnie Hugo był tłumaczem między bratem a lekarzami. Zalecali dłuższe badania, ale Piotr ogarnięty dziwnym popłochem zdecydował się na powrót. Zatrzasnął drzwiczki „Alfy” wystawił przez okno bladą twarz i powiedział z naciskiem:

— Matka chce cię zobaczyć przed śmiercią. Ma już osiemdziesiąt trzy lata!

Zrozumiał, że Piotr był tylko delegatem rodziny, która dotąd nie zrezygnowała z niego. Chcieli, by porzucił to nie swoje życie. Choć on jakby zdradził ich swoją decyzją — oni go nie zdradzili.

W roku 1976 przyszło oficjalne zaproszenie obywatela polskiego Saviniego od rodziny Savinich. W liście wiadomość, że matka jest w szpitalu.

Czytał list i czuł na sobie chmurne spojrzenie Katarzyny. „Co piszą?!”— pytała, a on nic nie mówił, tylko głową kręcił. Kiedy zobaczyła łzy na jego oliwkowych policzkach, wyrwała list, wybiegła na podwórze, żeby przeczytać. Ostatecznie pisali to jej szwagrowie, rodzina. Ale nic z tego zrozumieć nie mogła, więc z tym większym niepokojem patrzyła w oczy męża.

Szpital? Czy to nie podstęp? Piszą tak, by zmusić do przyjazdu. Dlaczego Hugo płacze, jakby się już z nią żegnał? Chce ją zostawić, ją, która jest matką jego dzieci? Jak ma mu wierzyć, że wróci, skoro nieraz kłamał, nigdy się nie przyznawał, że był na kawie w leśniczówce, a ona sama ile razy go przyłapała, jak chował czerwone wino na zapolu w stodole?! Nie, nie puści go dalej jak do Darłowa, musiałby na schodach ołtarza przysiąc, że wróci... Kim byłby, gdyby nie został jej mężem? Tej tutejszej rodzinie zawdzięcza wszystko, tamta nawet nie przysłała pieniędzy na bilet powrotny... Dlaczego jej teraz nie zapraszają?

— A kto by koło inwentarza chodził? — spytał spokojnie i dodał: — Gdybym ja chciał nie być tym, którym zostałem, już dawno mogło po mnie łóżko wystygnać...

Hugo, ubrany jak do ślubu z Katarzyną, po raz drugi wyruszył w drogę do Warszawy. Wiózł ze sobą bursztyn, podusieczki, drewniane rzeźbione pudełko. Na lotnisku w Mediolanie czekało na niego dziesięć taksówek z rodziną. Musiał wszystkich poznawać na nowo, uczyć się ich imion, stopni pokrewieństwa. Pod wieczór zajechali pod szpital w Padwie. Lekarz nie chciał go wpuścić: stan pani Niny Savini nie jest dobry...

— Ja nie widziałem matki trzydzieści trzy lata!

—To spotkanie może być dla niej za dużym przeżyciem. Ma przecież osiemdziesiąt dziewięć lat. Może nawet umrzeć na samą Wiadomość o przybyciu syna.

— Nie! — upierał się Hugo. — Powiedziała, że nie umrze, zanim mnie nie zobaczy.

Na jego widok matka wyskoczyła z łóżka, zawisła mu na szyi:

— Hugo! Teraz już mogę umrzeć!

Zaczęła nim okręcać jak w tańcu. Śmiała się i płakała na przemian. Na ten widok lekarz polecił natychmiast wypisać chorą do domu: To prawie cud! Przez dwa miesiące nie znalazł lekarstwa na jej stan, a oto jest uleczona!

Wrócili do domu wszyscy: matka i trzech synowie. Przez tydzień pili wino, jedli salami i opowiadali mu jego życie, jakie mogłoby być. Ofiarowywali mu te chwile, które minęły im bez niego. Mieli do powtórnego przeżycia kilkadziesiąt lat. Przeżyłby razem z nimi śmierć ojca w 1955 roku, sprzedanie winnicy, przeprowadzki, śluby braci. Dowiedział się, że obchodzili zawsze dzień jego urodzin. To stało się ich świętem rodzinnym. Na tych spotkaniach przywoływali wszystkie zapamiętane epizody z jego dzieciństwa: bał się osłów, ładnie śpiewał, był bardzo sentymentalny. Jaki jest teraz?

Jego życie wśród nich czekało wciąż na niego, jak futerał, w który można włożyć jakąś cenną pamiątkę rodzinną. Ale on już do tego futerału nie pasował.

Poznając ich na nowo, słuchał o sobie, jakim go wymyślili. Mówiono, co by osiągnął, gdyby był tutaj. Przypisywano mu sukcesy, awanse, szczęście. Tu spotkałoby go wszystko, co najlepsze. Tak chcieli, więc tak widzieli jego życie, które opuścił, na które się spóźnił. Dawali mu szansę, by zagrał przewidziane dla niego role. Liczyli, że wraz z winem poczuje smak tego, co mogło być jego udziałem.

Przez dwa tygodnie wędrował po Włoszech, odkrywając nie znaną mu nową część rodziny i sam dając się odkrywać.

Zaskoczył ich, kiedy postanowił wybrać się na Monte Cassino. To ponad pięćset kilometrów! Go go obchodzi ta góra? Są większe.

Nie mogli pojąć, dlaczego chce zobaczyć cmentarz na Monte Cassino. Wszystkie wycieczki z Polski jadą tam, więc i on pojedzie. Kazał tam sobie zrobić zdjęcie na tle rzędów białych krzyży. Pokaże sąsiadom to historyczne miejsce.

— Ale czyja to jest historia? — pytali go.

— Polska.

W Mediolanie przez pół dnia nie mógł opuścić magazynu sprzętu rolniczego. Dotykał maszyn, kręcił głową, pytał o ceny. Przydałyby mu się takie u siebie.

— Tu jesteś u siebie — przekonywali go.

— Tu się tylko urodziłem i poszedłem na wojnę, tam przeżyłem większą część życia.

— Tym bardziej masz obowiązek resztę poświęcić nam.

— Tam mam dom.

— Nie musisz tam wracać — podsuwali mu. — Możesz wrócić do początków swojej przeszłości.

Myśleli o Claudii. Dowiedział się, że ta, której w 1940 roku obiecywał wierność, czekała na niego długo. Wyszła za mąż dopiero, gdy do Padwy nadeszła informacja o chrzcinach jego pierwszej córki.

Odwiedził ją. Przywitała go cała na czarno. Nie musiał jej opowiadać o swoim życiu nad Bałtykiem. Wiedziała, że jego podwórze otoczone jest z czterech stron budynkami, że po chleb trzeba jechać kilka kilometrów do Rusinowa, że jedna córka wyszła za rybaka, druga za elektryka. On z kolei nie musiał pytać, czy jest szczęśliwa. Powiedziała mu: „Nigdy nie było tak, jak z tobą. Zostań”.

— A czy ty wiesz, jaki ja jestem teraz?

— Ja też mam męża, ale myślę wciąż o tobie.

— Ja już nie ten sam co wtedy. Ja sam nie wiem, czyim ja żyłem życiem.

— Wszystko można zmienić, wszystko odwrócić.

— Jestem tu tylko gościem.

Nikt nie chciał się z tym zgodzić. Znowu chcieli wybrać za niego jego los. Brat Mario chciał mu załatwić pracę w cementowni, Piotr gotów był mu oddać pół domu.

— Ja mam cały swój.

— Ale nie żyjesz swoim życiem, Hugo — powtarzała matka. — Nie po to cię odzyskałam, żeby cię Stracić.

A on znów powtórzył: ja sam nie wiem, czym ja żyłem życiem.

Robili wszystko, żeby poczuł, jak bardzo go im brakowało. Matka do dziś trzyma w szafie jego szkolne ubranie, odznakę strzelecką. Claudia nie powinna chodzić w żałobie po kimś żywym. Wystarczy, by kiwnął głową, a z Polaka stanie się na powrót Włochem, synem swojej matki, powtórnie stanie się narzeczonym zameężnej Claudii, która dla niego gotowa jest na separację z mężem. Czy wolno mu odmawiać sobie życia, do którego się urodził i był przeznaczony? Dlaczego całe życie ma zostać jeńcem losu? Hugo, jesteś w wolnym świecie, poczuj się wolny! Masz Szansę przeżyć to, co cię ominęło. Dość już zapłaciłeś za swoją zgodę na nie swoje życie...

Wozili go do miejsc, które czekały na niego: do klubów, barów, kin. Przez dwa tygodnie zwiedzał własną ojczyznę jak turysta, był odkrywcą miejsc, w których go zdaniem bliskich brakowało. Byli pewni, że Hugo jest już ich: ożywił się, śpiewał piosenki młodości. Ale po dwóch tygodniach coś się w nim nagle zmieniło: zaczął wstawać o piątej rano, wyglądał przez okno, jaka pogoda. Za oknem był ogród W Padwie, ale on widział skraj sosnowego lasu, przygięty ku południu przez wiatry od morza. Patrzył w słoneczne niebo i myślał, czy zdąży.

— U nas, nad morzem, w kwietniu się sieje. Akurat nadszedł kwiecień, codziennie myślałem, jaka tam pogoda.

Czy nie zawałę terminu siewów? Jaka wilgotność gleby? Czy Grecko wyszykuje siewnik? I wtedy poczułem, że właściwie tam mnie naprawdę brakuje. Po prostu tęskniłem do domu.

Od tego dnia dzień w dzień nadawał z Padwy telegram do swojej kobiety: „Nie martw się. Zaraz wracam... Czy nawóz kupiony? Zamów siewnik...”

Wrócił o dziesiątej rano, a w południe wyszedł siał. I tylko to go różniło od sąsiadów, że miał na sobie czerwoną koszulkę z Mickey-Mouse, którą przywiózł stamtąd.

Numer próbny

1

Długo szukałem tej taksówki na wszystkich postojach miasta. Czarna „Wołga”, numer boczny 470. Wsiadłem i zanim kierowca zdążył złamać chorągiewkę licznika, zadaję mu pytanie:

- Czy ma pan czas na długą podróż?
- Dokąd i na ile czasu ma być ten kurs?
- Przez dwadzieścia dwa lata pańskiego życia aż do dzisiaj.

Kierowca ogląda się. Dopiero teraz patrzymy na siebie. Po raz pierwszy widzę z bliska jego uważne oczy.

Wiem o nim wiele. Wiem, jak się nazywa, gdzie się urodził, że kiedyś płakał z obawy, że nie zobaczy więcej swego syna, że był przeklęty przez swego ojca i sam go przeklinał; wiem, z kim jeździł łowić ryby nad Odrę i że ten najbliższy kumpel sprawił, że i żona odwróciła się od niego; wiem, dokąd 26 listopada 1959 roku brał delegację służbową, wiem, o której odchodził pociąg i w jakim towarzystwie odbył tę podróż, która zadecydowała o jego losie.

On nie wie o mnie nic.

— Czy zdarzyło się panu patrzeć jak widz na swe własne życie?

— O co panu chodzi?

— Czy oglądał pan kiedyś jakby fragment własnego losu, odegrany przez kogoś innego? Zdarzenia, które tylko panu się przytrafiły, które powtarzał obcy panu człowiek?

— Kiedyś było coś takiego w telewizji. Znajomi mówili mi, że to o mnie.

— Nosił pan tam inne nazwisko: Chliwa. Imię też było zmienione: z Bazylego na Kazimierza. Pan jest wysoki, o pociągłej twarzy, ten zaś, który grał jakby pana rolę, miał wszystko w sobie kwadratowe. Nie ma między wami fizycznego podobieństwa. Czy jednak nie poczuł się pan okradziony przez niego z siebie samego? Czy też, przeciwnie, odczuł pan z nim coś w rodzaju pokrewieństwa?

— Czekałem specjalnie na kolejne powtórzenie serialu. Zamknąłem się w pokoju. Usiadłem w fotelu, żeby zobaczyć to, co znajomi uważali za moje życie. Ale to był tylko film.

— Byłem jego autorem. Pan mi dostarczył surowca: motywacje, determinacje, charakter oraz dziesiątki szczegółów, których bym nie wymyślił. Tworząc okoliczności tamtej zbrodni, ofiarował mi pan gotową nieomal dramaturgię. Jest pan właściwie współautorem scenariusza.

— Nie znam pana.

— Znamy się aż dwadzieścia dwa lata, tylko pan o tym nie wie.

— Co to za znajomość, o której ja nic nie wiem?

— Taka jak autora i jego wymyślonych postaci. Tylko że pan żył naprawdę. Historia pana życia zainspirowała fikcyjny scenariusz.

— Żeby to było moje życie, pan by musiał być mną. Urodzić się w Pętnej. Być synem mojego ojca. Przeżyć za mnie moje życie. Widzimy się po raz pierwszy. Go pan o mnie wie?

Ja widzę pana po raz drugi. Po raz pierwszy było to dwadzieścia dwa lata temu. Też w pałdzierniku. Mogę panu powiedzieć, jak był pan ubrany: ciemna marynarka dwurzędowa, biała koszula, rozpięta pod szyją. Prawą rękę

miał pan przykutą kajdankami do lewej ręki cywila, którego protokół eksperymentu śledczego określał mianem: „statysty”. Zanim pan został widzem fragmentu swego życia w filmie fabularnym, przedtem ja byłem widzem fragmentu pana życia. Ta wizja lokalna była jakby powtórzeniem premiery zbrodni...

2

Obiektów aparatu technika dochodzeniowego obejmuje widok zakrętu pod Magórą. Na pierwszym planie mężczyzna w dwurzędowej marynarce i białej, rozpiętej pod szyją koszuli. Obok „statysta”. W tle wierzby, za nimi jodły.

Dzień jest ponury. Jesienne góry wydają się złote na tle ołowianego nieba. Chmury ocierają się o wybrzuszenia szczytów. Wiatr uderza w nas od wsi Krzywa Banica, porusza bezlistnymi gałęziami, rozwiewa włosy obu mężczyzn, skutych ze sobą. Podprokurator przytrzymuje kapelusz. On, prowadzący śledztwo oficer oraz technik dochodzeniowy — to jakby ekipa realizacyjna sceny, której bohaterem jest mężczyzna w dwurzędowej marynarce.

Reszta to widzowie. Spora grupa, trzymana na dystans władczym gestem podprokuratora. Miejscowi mieszkańcy, pamiętający epilog tamtej nocy sprzed roku, ale nie znający jeszcze szczegółów dramaturgii tych faktów, których nic nie zmienia.

Jestem wśród nich. Jedyne, który na razie nie wie nic. Słucham ich komentarzy, które brzmią jak streszczenie sensacyjnego filmu.

— Gdzie jest ten, co to zrobił, stary H.?

— Bazyli go tylko przywiózł autobusem, a teraz kryje go, wziął

to na siebie...

Tu, na serpentynie drogi, stał rok temu ten autobus, który pozwolił zdemaskować sprawcę...

Oficer patrzy na zegarek. Notuje dokładny czas w notesie, daje znak ręką. Bazyli H. rusza od serpentyny szosy Małastów—Pętna w dół. Nogi „statysty” grzęzną w zaorany polu. Mijają grubą wierzbę, kępę krzaków. Zwalniają przed potokiem. Patrzą na siebie, jakby coś uzgadniali, biorą rozpęd i przeskakują na drugi brzeg.

Widzowie posuwają się po ich śladach. Jestem wśród nich.

Idą na przełaj. Po lewej stronie została mała cerkiewka, znowu pole, potem krzaki. Za nimi zgłiszcza zabudowań: szerniałe belki, pogięte żelastwo, poczerniała od popiołu ziemia. Wszystko to porośnięte już bujną pokrzywą. Bazyli przeskakuje rów, okrąża zgłiszcza od tej strony, od której wtedy obchodził ściany budynku. „Gdzie były drzwi?” — pyta oficer. H. rysuje w powietrzu drzwi, potem okna, potem kontury całego budynku. Dzięki temu szkicowi zawieszonemu w powietrzu wyobrażam sobie ściany, które tu kiedyś stały.

(Potem po latach przeczytam w aktach opis, wykonany przez pogorzała: *Dom spalony był zbudowany w 1920 roku z drzewa, ani z zewnątrz, ani z wewnątrz tynkowany nie był, izba, kuchnia, sień, stajnia i boisko pod jednym dachem 27X9 metrów. Dach: cztery rzędy drewnianych gontów. Kalenica również z gontów, reszta kryta słomą. Drzwi od pola obstawiłem zagatą z suchego siana na 80 centymetrów grubą...*)

Zatrzymałem się przypadkiem przy tej grupie ludzi na serpentynie szosy. A po kwadransie jestem, jak inni, widzem powtórzenia zdarzeń. Ale widzę jakby mniej niż oni. Większość z nich pamięta scenerię sprzed roku.

Rok temu, rankiem 29 listopada, dziesięć metrów od dymiących jeszcze zgłiszcz leżały na prześcieradle

zwęglone zwłoki kobiety i dziecka. Protokół oględzin zwłok stwierdzi: 1) zwłoki płci *żeńskej*, budowy *./.* odżywienia *./.* długości *1 metr*, z wyglądu lat około *./.* 2) stężenie pośmiertne *./.* 3) Plamy opadowe *./.* 4) skóra *spalona czarna* 5) głowa *częściowo spalona* 6) Powieki... spojówki?... rogówki... gałki oczne... źrenice... tęczówki... (*brak!*) 7) Wargi... dziąsła... język... (*brak*) 8) Zęby 9) Szyja 10) Klatka piersiowa: *zwęglona, zarysy płuc, szczątki miednicy, zwęglone kończyny*... Pozostałe rubryki oględzin wewnętrznych — kości, mózg, rdzeń przedłużony, łuki podniebne, tarczyca, grasicca, worek osierdziowy, trzustka, wątroba, nerki, tętnice — w sumie aż 58 punktów — pozostały nie wypełnione. Protokół oględzin dziecka był identyczny, różnił się tylko długością zwłok: *około 40 centymetrów*...

Wtedy też wiał wiatr. Tb on przeniósł ogień z zabudowań Wołkowicza na gospodarstwo Wszałka. Ale wedle chronologii wizji lokalnej tamte wydarzenia jeszcze się nie stały: jeszcze Emilia Wołkowicz nie wskoczyła do domu, by wygarnąć z kołyski półtorarocznego Adasia. Jeszcze niesione wiatrem płonące gonty z dachu Wołkowicza nie przeniosły ognia na dom sąsiada. To ma się dopiero stać. Sprawca dopiero pokazuje, jak obchodził dom. Jeszcze nie wydobył zapalek ani świecy. Ci, którzy wówczas byli świadkami pożaru, którzy wtedy usiłowali go gasić, teraz są widzami powtórzenia dramatu, który już się rozegrał. Wedle chronologii sprzed roku wszystko dopiero zmierza do kulminacji. Przypomina im się tamten czas: co robili tego dnia, o tej godzinie?

Ostatniego dnia w swoim życiu Emilia Wołkowicz rano piekła chleb. Obiad podała o czwartej. Kolację zjedli zimną, bo w piecu wygasło...

Emil Wołkowicz wrócił z pola o 16.30, zjadł kolację, był u sąsiada Wszałka, posłuchali razem dziennika radiowego o

20.30. Wrócił, zamknął drzwi stajni i położył się spać. Ocknął się, gdy żona go szarpała: „Emil, co tak jasno?” Otworzył oczy, nie wiedział, czy to zorza, czy luna. Nie zdążył sięgnąć po spodnie, kiedy z kuchni wskoczyły do izby języki płomieni. Tam gdzie drzwi, była ściana ognia. Rzucił się ku oknu, nie mógł otworzyć, szybę wybił ręką. „Podaj dziecko!” — zawołał. Żona podała mu Stasia. Kiedy żona wyskakiwała przez okno z pięcioletnim Jankiem, na chłopcu paliła się już koszula...

Sołtys Partyka zasiedział się z przyszłym zięciem. Pili wino owocowe, omawiali sprawę, czy dobrze chce Gomułka dla chłopca, czy źle, kiedy nagle ten błysk jakiś stanął w oknach. Wybiegli. Z daleka niosły się krzyki...

Emilia krzyczała: „Ratunku!”, ale na nic nie czekała: wskoczyła przez okno do środka po trzecie dziecko. Zamknęła się za nią ściana ognia. Emil Wołkowicz próbował iść za nią. Krzyczał, ale żadnej odpowiedzi. Ogień jakby wył, podsycany wiatrem. Skulił głowę w ramiona i chciał w ogień skoczyć...

Kiedy przybiegł Gąsior Bolesław z bosakami i wiadrami, Wołkowicz, silnie poparzony, jakby nieprzytomny, boso, szamotał się między ścianą ognia a płaczącym Jankiem. Ze stajni niósł się ryk bydła. Chciał ratować, wyprowadzić, ale nie dało rady; ściany ogacone słomą, ogień poszedł aż pod niebo...

Otupiński Eugeniusz dobrze pamięta, że wiatr był od Banicy, jak dziś, ale bardziej piekielny, drzewa z korzeniami chciał powyrywać. Gdy na ganek wyskoczył, zdawało mu się, że ganek zaraz od domu się oderwie. Kiedy dobiegł do siedliska Wołkowieza, już płonął budynek Wszalka Józefa. Poszło wtedy u niego trzy konie, jedna jałówka, dwie świnię, jedna owca, trzydzieści sztuk drobiu...

U Wołkowieza aż czterdzieści sztuk drobiu.

Ale za to tylko jeden koń.

Koń jeden, za to dwie jałówki, dwie krowy i buhaj.

A trzy świnie to pies?

Widzowie targują się teraz o wartość strat. W tej gospodarskiej rozmowie nie wymienia się Emilii Wołkowicz ani jej synka. Nie wlicza się do kosztów dni niepewności i nocy pełnych lęku, które były ich udziałem od pożaru.

Wszałek już się odbudował: kiedy się stoi w czasie tej wizji lokalnej przy zgłiszczach Wołkowicza, widać świeżą cegłę odbudowanego domu.

Wtędy żadnego nie udało się odratować.

Obie siedziby spłonęły doszczętnie. Gdy Wszałek wybiegł wówczas z domu, niosąc przyciśniętą do piersi pierzynę, budzik i buty z cholewami, bo to mu pierwsze wpadło w ręce, jasność była taka, że oczy trzeba było mrużyć. Dom Wołkowicza był huczącą grzywą ognia. Wszałek chciał dopaść drzwi obory, wypuścić ryczące bydło, ale odepchnęła go ściana żaru. Policzył tylko rodzinę: byli wszyscy, choć piętnastoletni Mietek dziwnie skurczony.

— Ślady po oparzelinach ma do dziś. Mietek, podwiń no rękaw, pokaż te plamy. Miał oparzenia drugiego stopnia.

Emil Wołkowicz i jego pięcioletni dziś Stasio też mają blizny. Miesiąc chodzili na opatrunki...

Niektórzy mówią, że i tak mogło być gorzej: kiedy sąsiedzi dochodzili do tego wulkanu ognia z wiadrami i bosakami, rozległy się detonacje pocisków. Cofnęli się w popłochu. Osłaniając oczy ręką, patrzyli z daleka, jak ogień zmienia barwy. Słyszeli ryk bydła.

Straż pożarna miała do przebycia 17 kilometrów. Pierwszy wóz bojowy był na miejscu 2.57.

— Później byli — twierdzi Bogun Klementyna: mąż wstał w nocy napaść konie, bo raniuteńko miał jechać z drzewem do Gorlic i dopiero wtenczas jechali. Sygnał dobrze już po trzeciej słyszał...

Zgadza się, bo po trzeciej piętnaście przybył drugi wóz...